Rozmaitości

Nr 28.

Dnia 9. Lipca 1836 Roku.

DWIE NOCY W RZYMIE.

(Dokończenie.)

NOC DRUGA.

Byłato sobota, dzień ostatni wystawy w roku 1835. Potrójny szereg pojazdów stał na placu przed *Musée de peinture.* Tłum znakomitszéj publiczności: artyści, magnaci, strojnisie, piękne uśmiechliwe damy w toaletach salonowych, wszystkoto wchodziło, wychodziło, cisnęło się w drzwi poboczne, gdzie za okazaniem błękitnego biletu, wielkiego dowodu łaski dyrektora muzeów królewskich, wstęp był otwarty. Na stopniach przysionku stało dwóch młodych mężczyzn, dwóch malarzy, i rozmawiało ze sobą, rzucając niekiedy spojrzenia na tłum cisnący się, i na zajeżdzające powozy. Jeden z nich, który swoją ściągłą, bladą twarzą, wyniosłém czołem, i wąsem *à la Louis XIII.*, przypominał Buekinghama, pędzla Van Dyka, miał w swojéj fizyjonomii piętno jakiegoś niepojętego cierpienia; jeżeli uśmiechnął się ustami, natenczas cały wyraz smutku przenosił się w oczy, których spojrzenie, chociaż było znaczące i słodkie, przecież się wpływowi cichéj boleści oprzéć nie zdołało.

»Nie małéj nagany godzień jesteś; skarzyć się na ciebie mamy słuszne prawo,« rzekł mu jego przyjaciel, młody artysta, ozdobiony świéżą wstążeczką legii honorowéj.

»Na mnie?«

»Tak jest, na ciebie, na poetę, na ciebie wielkiego malarza, któryś już pierwszym, prawie jeszcze dziecięcym rysunkiem swoim, wielkiego zapowiedział męża dla naszéj sławnéj francuzkiéj szkoły; na ciebie, którego biegłość i zagłębianie się w sztuce byłoby nas, twoich współzawodników, do rozpaczy przywiodło, gdybyśmy oraz i twoimi przyjaciołmi nie byli. W twojéj pracowni widziałem wiele rozpoczętych, pyłem okrytych malowideł; powiedz, czemuż nieukończone? ileż tam wzniosłych, wielkich myśli, ile jenijalnéj prawdy, ile uroku, któryby najpiérwszego mistrza w podziwienie wprawił; a cóż z tego wszystkiego dałeś na wystawę? Oto jeden portret, wprawdzie piękny, jakby go sam Lawrence malował, lecz tylko portret, który zapewne winniśmy jakiéj młodéj, próżnéj kobiécie. Przyjacielu, cóżeś ty uczynił? Wszystko dla siebie, nic dla nas! tyś nas okradł z téj części sławy, która na nas przez ciebie spływać miała.«

»Sława!« odrzekł powolnym głosem malarz, »o, nie pragnę ja sławy, ja pragnę sztuki; za sztuką gonię, kocham ją, ubóstwiam; ale niestety, ona mię zabija! O mój Boże! jakżem nieszczęśliwy. Gdybym był zwiédził Włochy, gdybym się był przypatrzył owym spaniałym freskom Watykanu! o Rzymie! o boska sztuko!«

»Żałujesz za Rzymem;... dla czegożeś Rzym opuścił?«

»Jestem synem północy,« odrzekł z gorzkim uśmiéchem, »skwarne słońce Italii byłoby grobem dla mnie.«

W téj chwili, tuż przed nimi stanął otwarty powóz. Jakiś podżyły mężczyzna zajął siedzenie w głębi. Obok niego siadła jakaś dama, która smukłą kibić wychyliwszy z wdziękiem z powozu, rozmawiała z niektóremi osobami, stojącémi w pobliżu.

»Dzień dobry ci, mój aniele!« to pozdrowienie słyszeli malarze, »czy widziałaś mój portret?« rzekła jedna z dam, stojących przy powozie.

»Widziałam; jest on zachwycającéj piękności, pełen prawdy, życiem przemawiający.«

»Zalecam ci malarza; jestto młodzieniec bardzo przyjemny, lubo cokolwiek dziki.«

»Nazwisko jego?« zapytała młoda dama w powozie. — »Rajmond.« — »Rajmond?...«

»Tak jest; bywajże mi zdrowa! będziesz mi wdzięczna, żem ci go zaleciła. Ale, patrz, tam on właśnie stoi na wschodach przysionku; ten młody, słuszny mężczyzna, to on sam, uważa nas.« W téj chwili powóz ruszył z miejsca, a młoda dama oglądnęła się z żywością.

Rajmond rzucił okiem i ujrzał na chwilę pod ulotem jéj ciemnych włosów uroczą twarz anioła, jaką tylko mógł widzieć w swoich wieszczych marzeniach lub utworach wielkiego Rafała.

»Kamillu,« rzekł Rajmond, chwyciwszy swego przyjaciela za ramię, »wiém pewnie, że tę dziewicę raz piérwszy w mém życiu widzę, a przecież kiedy jéj wzrok spotkał się z moim, nieodgadnione przeniknęło mię uczucie, podobne iskrze elektrycznéj, a co najdziwniéjsza, że mi się zdaje, jakbym ją gdzieś już widział, a teraz sobie tylko przypomniał... Ta dziewica, ten wstrzymujący się powóz, to spojrzenie, jakby odmłodzone, jakby jakaś dawna znajomość, jakiéś powtórne zjawisko!«

Są zatém chwile, w których dusza nasza przez głębokie wrażenia, zchwytuje w życiu wspomnienie jakiegoś wypadku, który tyle ma prawdy, ile sen przyjemny.

Nazajutrz o 9téj rano zajechał herbowny i spaniały powóz przed mieszkanie malarza na ulicy *Larochefaucauld.* Rajmond w swoim ubiorze od pracy, z axamitnym biretem w ręku, drżący i pomieszany, nie umiejący zdać sobie sprawy z tego osobliwego wzruszenia, przyjmował znakomitego cudzoziemca w swojéj pracowni. Wszcząwszy rozmowę o sztuce i malarstwie z człowiekiem, który zdawał się mieć wielką w téj mierze naukę, i zwracając uwagę jego na niektóre sławnych mistrzów obrazy, wiszące na ścianach pracowni; otarł kurz z kilku prawie już zapomnianych, i do ścian poobracanych, które sam malował; postawił je w świetle, i śledził wrażenie, jakie dzieło jego na starcu sprawi; lecz czynił to z jakąś bojaźnią, z jakąś próżną ciekawością, która dotąd duszy jego zupełnie obcą była.

»O ile znawcą jestem,« rzekł przybyły, zarywając akcentem włoskim, »sądzę, iż te obrazy więcej przypominają starą hiszpańską szkołę, niż naszych wielkich włoskich mistrzów. Czy wćpan byłeś w Rzymie?«

Nigdy, ani w Rzymie, ani we Włoszech nie byłem,« odrzekł malarz.

»O, kto jest tak młodym, ten pewnie nas kiedyś odwiédzi; wćpanu trzeba koniecznie zwiédzić Watykan, Florencyję, Wenecyję. Tymczasem nastręczę wćpanu wzór, jakiego sam Rafael nie miał przed sobą. Zechcesz malować portret mojéj córki, mojéj Leoncyi. Mieszkam na wsi, nie daleko Paryża; zastaniesz u mnie gotową pracownię. Jeżeli wolnym jesteś dnia jutrzejszego, przyjadę po wćpana do Paryża.«

Na karcie, którą starzec zostawił, wyczytał malarz te wyrazy: *Prince Barberini.*

Francuzka willa rzymskiego książęcia leżała w pobliżu miasteczka Issy; wesoło i wdzięcznie ukrywała się ona ze swojémi tarasowémi dachami i białémi posągami w cieniu lip zielonych, jakby przypomnienie rzymskich rajów nad brzegami Sekwany. Po drugiéj stronie parku *de l'Epine* widać od gościńca taras cienisty, wązki, zasadzony dwoma rzędami lip rozłożystych.

Co każdy piękny wieczór, przeszłego roku na wiosnę, stary książę, córka jego Leoncyja i malarz Raymond przypatrywali się to błękitnéj Sekwanie, połyskającéj ostatnim promieniem zachodu przez bukiety pływających wysp topolowych; to długim lasom Mendonu i Saint-Cloud, gubiącym się zwolna w pomroce; to zachodzącemu słońcu, które długie pasma światła zostawiało na wzgórzu Valerien.

Dawno już był portret Leoncyi, to mistrzowskie dzieło, ukończony. Z razu podziwiał malarz swój wzór uroczy, a potém w nim się rozkochał; artysta malował całą duszą swoją, chciał jenijalne utworzyć dzieło, i utworzył je.

»Nie tylko do Rzymu, ale i do willi Barberynich będą się zbiegać na widzenie tego portretu!« rzekł książę.

Lecz kiedy Leoncyja, odbiérając to urocze wdzięków swoich źwierciadło, rzuciła artyście spojrzenie podzięki, wtenczas uczuł on całą niemoc sztuki w oddaniu tego boskiego promienia, który łysnął z jéj oczu; wtenczas przekonał się, że w głębi jego łona ocknęło się inne jakiéś podziwienie, inna jakaś miłość, niż miłość sztuki.

Raymond kochał nie pojmując wzruszeń swego serca; a książę, na którego czole i w którego przygasłych oczach pozostały ślady

gwałtownych namiętności, nawykł i polubił obecność malarza. Jeżeli czasami burza zbiérała się na niebie, a mgliste chmury zasuły krajobraz, jeżeli powietrze dyszało ciężkiémi, parnémi wyziewy; natenczas książę zwykł się był na osobność oddalać; osłabienie i drażliwość nerwów, wewnętrzne niepokoje, czyniły mu nieznośném wszelkie towarzystwo, i wtenczas zostawiał malarza sam na sam z jego modelem. Długie godziny przechodziły im w nieprzerwanéj ciszy, kiedy niekiedy tylko wymykały się im urywane, mało znaczące wyrazy; lecz byłyto chwile najsłodszego upojenia, w których dusze ich uwolnione od wszystkiego, coby je w więzach trzymało, przelewały w siebie niewymównych wyznań i uczuć tajemnice, które się bez martwych słów obeszły. Leoncyja, jak tyle innych dziewcząt, w piérwszym początku życia pozbawionych matek, bez przyjaznego serca, w któreby młodociane swoje obawy i wzruszenia przelały, stworzyła sobie w głębi siebie świat osobny i w tym żyła, i podług niego działała. Leoncyja poznała miłość swoję dla Rajmonda, i nie wzbraniała mu, aby ją kochał nawzajem.

Pewnego dnia po obiedzie rzekł książę: »Leoncyjo! za 10 dni musimy być w Rzymie. Na 25ty będę przyjmował wizyty w pałacu Barberynich, jutro rano puszczamy się w drogę. Rajmondzie,« mówił daléj, »wćpan jeszcze nie byłeś wRzymie, zawiozę cię, pojedziesz z nami.«

»Wdzięczen ci panie jestem,« odpowié malarz bledniejąc,« lecz téj ofiary nie przyjmę; nie mogę jechać do Rzymu...«

»Jako! a sztuka! a Rafał! w młodości tylko Rajmondzie, można zachwycać się jenijuszem i zgłębiać jego dzieła; tobie czas po temu; cóż cię wiąże w Paryżu? zapewne nic tak silnego? Nie prawdaż? pojedziemy razem, to rzecz skończona.«

»Chciéj książę przyjąć moje wymówienie się, to jest rzeczą niepodobną, abym jechał z tobą,« odrzekł malarz głosem stanowczym.

»Rajmondzie, twoja obecność stała się dla mnie niezbędną. Jestem czcicielem sztuki malarskiéj, a tyś wielkim malarzem, między nami zadziérgnął się związek uczuć wzajemnych. Zostaw mnie około wszystkiego staranie, kilka tylko dni zabawimy w Rzymie; obejrzysz przez ten czas wszystkie arcydzieła i znowu wrócimy do Paryża.«

Leoncyja zbladła, a postrzegłszy odmawiający ruch malarza, uprzedziła go w odpowiedzi: »Panie Rajmond! ojciec mój zaprasza cię w imieniu swojéj przyjaźni... i ja także,« dodała ze spojrzeniem tkliwém i pełném uroku. Malarz oparł głowę na ręku, podumał chwilę, powstał, i wyrzekł cichym głosem: »Pojadę.«

Tegoż dnia wieczorem, kiedy na chwilę ujrzeli się sami na terasie, Leoncyja zbliżyła się do Rajmonda i rzekła: »Potrzebaż było aż tak długiego namysłu, abyś przyzwolił na podróż z nami?«

»Zapewne Leoncyjo — kiedyto było pytanie o śmierć lub życie!«

Nazajutrz ogrody willi były opuszczone.

* * *

»Boże ratuj mię! wszakto *Porta del Popolo!*« wykrzyknął malarz w chwili, kiedy powóz księcia Barberyni do Rzymu wjeżdzał.

»Jako, więc znasz tę bramę?« zapytał książę zdziwiony.

»Znam,« odpowiedział malarz prawie drżący, usiłując pokryć to uśmiechem. »Dzięki wszystkim widokom Rzymu i jego okolic, które nas biédnych Francuzów peryjodycznie w sztychach i litografijach dochodzą.«

Książę był oczekiwany u siebie z obiadem, i w samę porę przyjechał, aby w galeryjach i ogrodach willi Berberynich, pod pysznémi kolumnami karraryjskiego marmuru, przy blasku świateł rzęsistych, śród woni kwiatów i dźwięku wybornéj muzyki, przyjmował kardynałów, piérwszych urzędników państwa, i wszystkich rzymskich książąt z familij papiézkich, których stare imiona od tyle wieków kolejno zdobiła tyara. Byłato uroczystość magnacka, jaką wyprawiać był powinien ostatni reprezentant jednéj z najwyższych i najmożniejszych w purpurze urodzonych rodzin.

Kiedy już przerzadziły się grona balowe, kiedy już swobodniéj można było przechadzać się po marmurowych galeryjach, kiedy symfonije i śpiewy ucichły, malarz nasz, upojony tą harmoniją, tą wonną atmosferą, temi rzymskiémi gody, gdzie freski Karraczego ożywiały się od blasku tysiąca świateł, stał przed portretem Leoncyi tuż przy księciu, który go swoim przyjaciołom jako twórcę tego dzieła przedstawił. W tym zamęcie zachwytu i upojenia, rozum i przytomność umysłu odbiegły na chwilę młodziana.

»Rajmondzie!« rzekł książę, »czy można, aby taki malarz, jakim ty jesteś, w życiu swojém, nie widział Rzymu? a przecież tak dobrze, jak Transtyberyjanin, poznałeś *Porta del Popolo!* To niepodobna, musiałeś już być w Rzymie Rajmondzie?«

»To prawda książę,« rzekł machinalnie artysta, »niegdyś byłem raz w Rzymie; lecz to jest dziwna przygoda!«

»No, panie Francuzie! Opowiédźże nam tę przygodę!«

»Dawneto czasy;« mówił malarz z niejakiém ociąganiem się. »Spodziéwam się, że w każdym razie mogę być pewnym waszéj protekcyi, moi panowie. Tak jest, byłem już w Rzymie.«

»A widzisz! wiedziałem o tém,« zawołał książę.

»Podówczas byłem jeszcze bardzo młody, prawie dzieckiem, byłem uczniem szkoły francuzkiéj, i otrzymałem wielką nagrodę. Tu miałem zamiar stać się mistrzem, Rafałem. Tego samego wieczora kiedym do Rzymu przybył, nieszczęśliwém losu zrządzeniem poszedłem na teatr *Argentina.* Wtedy śpiéwała Coronari...«

W téjże chwili, gdy to malarz mówił, pojawiła się Leoncyja u wnijścia galeryi, która postrzegłszy wyraz okropnego cierpienia na czole swojego ojca, opartego na marmurowym kominku, rzuciła błagające spojrzenie na malarza, a on zamilkł. Spójrzenie to przypomniało mu ową piękną, bladą, cierpiącą twarz, którą widział w teatrze *Argentina.*

»Cóż daléj!« rzekł książę, »cóż daléj!« nalegało grono słuchających.

»Wyszedłszy z teatru, zabłąkałem się. W odludnéj stronie miasta, w ciemnéj nocy, zapytał mię głos jakiś: Tyżeśto?! »Ja!« odpowiedziałem nierozmyślnie, i natychmiast zostałem ujęty i związany; a kiedym do zmysłów powrócił, ujrzałem się w ponuréj, głuchéj sali, gdzie jakaś kobiéta, jak mi się zdaje, była konającą, śpiące dziécię leżało w jéj objęciu. Zamaskowany mężczyzna przyprowadził mię do niéj! Mimo zasłony, twarz jéj ukrywającéj, zdawało mi się, żem poznawał twarz, którą przed kilką godzinami w teatrze widziałem! Ci ludzie porwali mię zamiast księdza, którego tu potrzebowano. Jużem się miał za zgubionego, lecz ta okoliczność, że dopiéro przed wieczorem do Rzymu przybyłem, ocaliła mi życie.«

»A wćpanżeś nie poznał, ani domu, ani miejsca? Nic wcale?...

»Zawiązano mi oczy, a nazajutrz odjechałem do Francyi.«

»Aleś musiał zapamiętać pokój, w którym byłeś téj sceny świadkiem.«

»Na ścianach, ile sobie przypominam, widziałem obicie z osobami.....« Tu się obejrzał, wypatrzył się z przestrachem, i poznał toż samo obicie na ścianach. Jakieś okropne przejęło go podejrzenie, które usiłował pokryć i spiesznie pochwycił tok opowiadania: »Na kominie stał zégar...« Byłto ten sam, poznał go, jak gdyby go dopiéro wczoraj widział... »Zamaskowany ciskał iskrzące spojrzenia z pod maski.....«

Gdy to mówił, książę utopił wzrok w niego, on się wzdrygnął. »Cóż daléj!« zawołał książę.

Tu nastała chwila milczenia, w któréj Leoncyja, blada i drżąca, lekko trąciła o złote ramy portretu, który spadł, a płótno rozdarło się o róg marmurowéj podstawy.

Przypadek ten odwrócił powszechną uwagę, i wybawił całe grono z pomieszania.

Rajmond widział się zgubionym. Kiedy zégar na kościele S. Piotra piérwszą uderzył, stał on w oknie swego pokoju, i oczekując rozwiązania groźnych przeznaczeń, wodził błędnemi oczyma po niebie; w tém skrzypnęły kryjome drzwiczki; zimny drészcz go przeniknął, lecz nie stracił odwagi.

»Rajmondzie!« zaszeptało coś po cichu.

»Leoncyjo!...« poskoczył ku niéj, i po raz piérwszy do serca ją swego przycisnął. »Bywaj zdrowa!« zawołał.

»Bądź zdrów! Tak; trzeba, abyś z tych miejsc uciekał natychmiast. Rajmondzie, pójdź ze mną!« To rzekłszy pociągnęła go za sobą; szli po ciemku przez długi, wązki korytarz, aż przyszli do małych drzwiczek, wiodących do ogrodu. Z téj strony można było z muru, który taras tworzył, łatwo skoczyć na ulicę. Leoncyja wskazała mu drogę, i nagliła go do ucieczki.

»Jako? mamże sam z tych miejsc uchodzić?« rzekł Rajmond.

»Rajmondzie! ja tu zostać muszę... Teraz wiém wszystko, powieść twoja wykryła mi okropną tajemnicę. Dobrze przypominam sobie ostatnie łzy mojéj nieszczęśliwéj matki! Lecz on jest moim ojcem — zostanę!«

»Dobrze, więc i ja z tobą. Rzym jest moją złą gwiazdą, przeznaczeniem méj zguby, niechże zginę! Czyliż nato przybyłem tu niegdyś na kilka godzin, abym marzenia moje o sztuce i sławie, a teraz w dziesięć lat poźniéj, abym wszystko szczęście moje na wieki pożegnał? Nie, niech mi najsroższy los padnie; sam się ztąd nie oddalę.«

»Przez Boga, mów ciszéj!« rzekła dziewica załamując ręce. »Zaklinam cię, spiesz się... już nadchodzą... zgubionyś... O Boże! tyś jeszcze tutaj...« W téj chwili jakieś światło rzuciło po galeryi swoje mdłe promienie... Leoncyja ujęła za szyję Rajmonda: »Chcę tego, rozkazuję ci, uchodź Rajmondzie!«

Malarz skoczył na ulicę, a kiedy już zniknął, Leoncyja postąpiła kilka kroków, lecz razem wydaje krzyk przeraźliwy, i pada bez zmysłów na ziemię.

W dni trzy po téj przygodzie czytał Rajmond w Neapolu w *Diario di Roma*:

»Po spaniałym balu w willi Barberynich całe »skrzydło pałacu stało się pastwą płomieni. »Opłakują tu stratę kilku domowników, a »mianowicie samego księcia Barberyni, który »nazajutrz z ciężkich ran umarł.«

* * *

Przed kilką tygodniami spotyka Kamil na Polach Elizejskich jadącego w eleganckim kabryjolecie swego przyjaciela, który powrócił z Rzymu: »Jako, tyś w Paryżu?« zawołał nań z daleka.

»Już od tygodnia; proszę cię, siadaj ze mną.«

»Najchętniéj; masz tak prześliczne konie, to prawdziwy zaszczyt jechać niémi. Gdzież mieszkasz?«

»Będziesz u mnie na obiedzie.«

»Zgoda. Cóż sztuka? Rafał? Rzym?...« Pędem wiatru leciał ich powóz przez Pole Marsowe, przez Baugirard i Issy, aż stanął przed złoconą kratą i terasem na ulicy *Fleury*.

»Przeniewierzyłem się bardzo naszéj sztuce w Rzymie,« rzekł Rajmond do swego przyjaciela. »Kamilu! nie jestem już malarzem. Rafał, Dominichino opuścili mię; nie kocham się już w sztuce! Lecz kocham...«

»Tego oto anioła?« rzekł Kamil, postrzegłszy młodą damę, czarującéj piękności, która biegła przez taras w chwili, gdy lokaj kratę otwiérał.

»To moja żona!« rzekł Rajmond.

ZBURZENIE NUMANCYI.

Starożytny spiéw z hiszpańskiego przełożony.

Ya de Scipion las vanderas,
Llegan á ver las murallas,
De aquella cabeça antigua
De la invencible Numancia.

Gdy przyciągnęły zastępy zbrojne
Rzymian, pod wodzą Scypiona,
Gdzie wznosi murów czoło dostojne
Numancyja niezwyciężona;

Ów wódz, Alcyda dzieły wsławiony,
W tłumach szyk sprawił bojowy,
I swoje bitne, sforne legiony,
Takiemi zagrzéwa słowy:

»Już rzymskich orłów polotne pierze
»Wzbija się pod niebios stropy;
»Boście ich skrzydła, dzielni rycerze!
»Wdrożyli w górne pochopy.

»Pamięć człowiecza już nie zasięga
»Tych wieków, gdy wasze sprawy
»Świat dziwią — odkąd Rzymu potęga
»Pobudza rozgłosy sławy.

»Tu czego rzymski oręż doścignie,
»Pokażcie, rycérze dzielni!
»Na tych się murach pomnik wydźwignie,
»Który was unieśmiertelni!«

Tu się niewolnie bohatér zaciął,
Gwarem zagłuszon okrzyków,
Co, jakby wulkan, śród nieprzyjaciół
I własnych buchnęły szyków.

»Daléj! do broni!« powszechna wrzawa,
»Do broni!« w niebo się wzbije;
Jedni wołają. »Rzymowi sława!«
Drudzy: »Numancyja niech żyje!«

Biada Numancyi!... do koła szańców
Nieprzeliczony wróg leży.
Lecz raczéj umrze każdy z mieszkańców,
Niźli ojczyzny odbieży.

I kiedy w mieście zabrakło jadła,
Stanęła walna narada;
I jednomyślną zgodą zapadła
Niewiast i dzieci zagłada.

Tu żona w tkliwém męża objęciu
Odbiéra razy zdradzieckie;
Tam ręka ojca w własném dziecięciu
Topi żelazo zbojeckie.

I rozłożono wielkie ogniska
Śród wielkiéj miejskiéj przestrzeni;
Tam, z swego mienia, co zdoła ciska
Każdy na pastwę płomieni.

I każdy pomny w ciężkiéj godzinie
Na świętość przysiąg niezłomnych;
Woła: »Umrzemy! kto za kraj ginie,
»Ten w wiekach żyje potomnych!«

»Dalej! do broni!« powszechna wrzawa,
»Do broni!« w niebo się wzbije,
Jedni wołają: »Rzymowi sława!«
Drudzy: »Numancyja niech żyje!«
Runie Numancyja!... z wrogiem potężnym
Daremna garstki obrona.....
Padła — lecz zgonem mieszkańców mężnym,
Uszła potęgi Scypiona.

(*T. P.*) IGNACY KUŁAKOWSKI.

TRYUMFALNE

WPROWADZENIE WOLTERA DO ŚWIĄTYNI NIEŚMIERTELNOŚCI.

Touchard-Lafosse podaje następujący komiczny opis tego tryjumfalnego obchodu, zapowiedzianego z wielką pompą, i odprawionego d. 10. lipca 1791:

»Cały porządek i wystawa tego tryjumfu powierzone były malarzowi Dawid, który wszystko w smaku greckim urządził; albowiem w onym czasie, kiedy wszystko, co dawne, niszczono, dziwna panowała moda naśladowania starożytnych Greków, przynajmniéj w ich zewnętrznym kształcie. Wszyscy członkowie prawodawstwa, akademii sztuk i umiejętności, mieli osobne swoje miejsca w tym tryjumfalnym orszaku, który zamiast szczytnych uniesień, śmiéch wzbudził.

Zwłoki poety, zmarłego w r. 1778, złożono w sarkofagu, który ustawiono na rydwanie, zbudowanym w sposób starożytny. Na wieku sarkofagu, na ozdobnych marach stał wizerunek poety. Sława z rozpostartémi skrzydły wznosiła się w postaci ulatującéj nad głową Woltera, niby go wieńcząc gałązką wawrzynu. Po obu stronach sarkofagu znajdowały się godła i napisy. Rydwan zaprzągnięty był ośmioma białemi rumakami, po cztéry w rzędzie.

Orszak ruszył w pochód z placu Bastylli. Przed rydwanem postępowała deputacyja akademicka, niosąca na poduszkach wszystkie dzieła Woltera, w bogatéj oprawie. Około téj machiny, toczącéj się z ciężkością, postępowały deputacyje z różnych wydziałów, które w przypisanych sobie ubiorach, z *chapeaubas*, przy galowych szpadach, w uniformach z upudrowanemi fryzurami, dziwnie od reszty odbijały orszaku, składającego się z greckich rycérzy, kapłanów i kapłanek w starożytnych kostiumach. Ci umaskowani Grecy i Greczynki byli to chórzyści i chórzystki wielkiéj opery, a te ostatnie nie przepomniały swoim bardzo nowoczesnym sposobem rzucać słodkich spojrzeń na swoich znajomych w tłumie widzów.

Orszak przeciągał przez Bulward aż do kościoła S. Magdaleny, przez plac Ludwika, wzdłuż wybrzeża Tulyjeryjskiego i przez most królowski. Przez wszystek ten czas śpiéwano hymny, umyślnie ułożone na tę uroczystość.

Procesyja ta zatrzymała się najprzód przed domem opery (gdzie dziś teatr *de la Porte St. Martin*), i tu śpiewacy i śpiéwaczki opery sławili pamięć nieboszczyka. Ztąd ruszyło wszystko do byłego mieszkania Woltera, na rogu ulicy *de Beaune*, gdzie po drugi raz zatrzymano się. Tutaj liczne grono dam, ubrane w bieli, bramowane czerwonémi wstęgami, uwieńczone bluszczem, odegrało i odśpiéwało dość fałszywie coś na kształt pastorali (sielanki) na cześć Woltera, a pani de Vilette odczytała arcy-długie i arcy-mierne poema. Po upływie całéj godziny, w ciągu któréj ciężkie i czarne chmury pokryły cały widokrąg, znowu puszczono się w pochód do teatru narodowego, gdzie po raz trzeci i ostatni miano się zatrzymać. I tu jeszcze głoszono panegiryki, czytano epitry i t. d., aż nakoniec czarne chmurzyska, tak długiém czekaniem znudzone, rozpłakały się ulewnémi potokami dészczu.

Ażeby całe to komiczne widowisko, które w téj chwili pojawiło się oczom moim, pojąć i ogarnąć, i zrywać boki od śmiéchu, potrzeba by, jak ja podówczas, patrzéć na nie z okna sąsiedniego domu. W jedném oka mgnieniu cały ten pompatyczny orszak, jakby wymiótł, nie wiedziéć gdzie się rozproszył. Kapłanki, przewidując, że ich przemokłe, błotem ubramowane tuniki, wiele utracą z swojéj klasycznéj piękności, drapnęły w nogi, i w mgnieniu poblizkie kawiarnie i szynkownie ugarnirowały się témi zbiegłémi wesołkami. Greccy znowu rycérze, przekonani, że ich płócienne szaty i papiérowe hełmy nie wiele dadzą ochrony od potężnego dészczu, pochowali się po szynkowniach; a tymczasem wezbrane potokami dészczu uliczne rynsztoki unosiły na swoich falach, pogubione koturny, palmowe gałązki, wieńce wawrzynowe i pozłacane lutnie.

Tylko zawiadowca téj uroczystości, Dawid, wraz z kilkoma swymi uczniami, mężnie dotrwali na stanowisku; lecz nakoniec, gdy już do żywego przemokli, ozwie się jeden z uczniów do Dawida: »Twoje poświęcenie się mistrzu, w istocie jest bardzo piękne, lecz niezgodne z duchem greckim, bo w Grecyi tak nawalny dészcz nie leje.« — »Dobra twoja uwaga,« odrzekł Dawid i pospieszył szybkiemi kroki z orszakiem swoich uczniów do najbliższéj kawiarni, gdzie z okien przypatrywał się z wielkim smutkiem zniszczeniu, jakie potop dészczowy na jego dziele wyrządził. Wszystkie godła i figury zrobione były z tektury, i klejowemi farbami pomalowane. Nie wyszło kilka minut, a cały tryjumfalny rydwan stał się podobnym do zepsutéj i staréj teatralnéj dekoracyi. Biédne Muzy, trzymające się za dłonie dokoła sarkofagu, co chwila gubiły po jednym fałdzie szat swoich, a nawet i niektóre członki; sam bowiem Apollo nie miał już głowy... a *sława* ledwo się na jednéj

nodze utrzymać mogła. Szczęściem, poeta Chenier zbliżył się do zgryzionego artysty, radząc mu, aby kazał rydwanowi cwałem pędzić do Panteonu, póki jeszcze cała mitologiczna alegoryja w wodzie się nie rozpłynie: »Wolter pędzący cwałem do świątyni nieśmiertelności,« dodał, »ta myśl ma w sobie nawet coś patetycznego!« — »Wielka prawda! wielka prawda!« zawołał mistrz i jego uczniowie, z których natychmiast jednego wyprawiono, aby zaniósł ten rozkaz woźnicy; woźnica zaś, fiakier, którego ubrano w grecką szatę i utrefino w jasnowłosą perukę, już od dawna przeklinający najgminniéjszym językiem tę słotę, tę paradę, i samego Woltera i Greków, nie dał sobie rozkazu dwa razy powtarzać, potężnie zaciął rumaki, a rydwan, przed nie dawna tak pysznie ustrojony, pędził śród nawalnicy przez ulice *Vaugirard*, *Franes-Bourgeois* i *St. Hyacinthe*, a nakoniec w najsmutniéjszym stanie dopadł Panteonu. Cała droga, przez którą się toczył, zasłaną była szczątkami jego ozdób; chwiejąca się *sława* straciła równowagę, i zwaliła się w błoto, a co więcéj, nawet głowa wizerunku Woltera, przez trzęsienie wozu oderwała się od tułowiu, i ugrzązła w kałuży.«

Z Warszawy. Na naszym widnokręgu literackim nie dawno ukazał się nowy utwor wesołego humoru, nie będący czystém rozognionéj wyobraźni urojeniem, lecz z rzeczywistego czerpany świata, olśniony poezyi blaskiem przedstawia się czytelnikom. Tym utworem jest Warszawski Karnawał, w cztérech waryjacyjach, na ton *b mol*, przez autora »Sztuki podobania się mężowi.« Z wstępu samego do piérwszéj waryjacyi, pod nazwą: *Karnawał*, dowiadujemy się, że nowy ten płód jest dziełem pióra znanego autora: »Pieśni lirycznych.« (G. P.)

Do literatury sławiańskiéj. Wuk Stefanowicz wrócił nie dawno z podróży do Czarnéj Góry, zebrał mnóstwo nowych słów i pieśni ludu, i zamierza wydać tom 5ty swego zbioru serbskich pieśni, tudzież opisanie narodowych zwyczajów. W ogóle rzecz godna uwagi, że u Sławian południowych daje się widzieć dość ożywiony, chociaż mały ruch księgarski. Liczą, że w Państwie Austryjackiém i Białogrodzie w roku przeszłym wyszło do 10 *zabawników*, t. j: almanaków w narzeczach: serbskiém, słowackiém, horwackiém i kraińskiém. Książki i kalendarze drukują się w Wiédniu, Budzie, Karlogrodzie, Lublanie, Siebienicy i t. d.

Czesi trudnią się coraz bardziéj literaturą Polaków. Pismo ich peryjodyczne: *Kwiety czeskè*, w najświéższych Nrch swoich zawiera piękne przekłady poezyi Niemcewicza i Mickiewicza. Wydawca tego pisma, pan Jarosław Pospieszil, umieścił w niém zajmujący opis podróży swojéj po Galicyi i rzeczypospolitéj Krakowskiej; w opisie tym zasługuje szczególniéj na odczytanie opis Krakowa i jego czarownych okolic. (G. P.)

Z Berlina. Hrabia Anastazy Raczyński wydał tu piérwszy tom wielkiego dzieła swego: »Historyja nowszych postępów malarstwa w Niemczech.«

Literatura francuzka. P. Soulie, który do najlepszych i najulubieńszych francuzkich romanso-pisarzy należy, wydał romans: *Deux séjours. Province et Paris.* 2 tom. — »Życie Pigault-Lebrun'a,« nie dawno wyszłe w Paryżu, taką świetne zyskało przyjęcie, że księgarz Barba natychmiast po rozprzedaniu piérwszéj edycyi, zapowiedział drugą w innym formacie. Wyimki z tego dzieła, w wielu umieszczane dziennikach, dały już poznać i rzecz samę przez się zajmującą i wybornie oddaną. — Wyszła także w Dyżonie bijografija sławnego jenerała Allard, pod tytułem: *Vie et voyages du général Allard* i t. d. (Życie i podróże jen. Allard, urodzonego w St. Troper, oficéra w wojsku francuzkiém za czasów cesarstwa, a teraźniejszego naczelnego wodza wójsk króla Lahory, w Azyi). — Dzieł Chateaubriand'a pojawił się piérwszy zeszyt. Ogólny zbiór składać się będzie ze 125 zeszytów. — Nawet i we Francyi rzucono się teraz do literatury gminnéj, i zaczęto ją oceniać z głębszego stanowiska, temi czasy wyszło tam dziełko: *Jehan le chroniqueur. Chroniques, légendes et traditions populaires du Soissonnais* (Jan Latopiszec, czyli latopisy, legendy i podania gminne Soassończyków), przez Juliusza Brisez.

Zdanie Bulwera o stanie teatru we Francyi. Sława teatrów zaczyna się przyćmiéwać w całéj Europie; zdaje się, iż są niektóre rodzaje sztuki, świecące przez czas niejaki i gasnące potém, jak wygorzałe wulkany. We Francyi nie tylko pod względem dobrego bytu upadają teatra, ale nadto i talent autorów, pomimo hojnego wsparcia, nie może się wznieść do szczytu. Francuscy autorowie otworzyli nowy dla sztuki zawód, wyrzekając się na zawsze natury. Goniąc ustawnie za nadzwyczajnościami, usiłują trwogę obudzić, przez wprowadzenie obrazów, jakie nigdy nie istniały w rzeczywistości. Dziécię wkłada na twarz maskę, jeżeli chce kogo strachem nabawić; toż i francuscy autorowie czynią jak dzieci. Niebawem wyczerpią oni powszechne źródło okropności i nadzwyczajnych zbrodni; jeżeli i to się skończy, gdzież będą już szukać działań dramatycznych? Po *Wieży Nesle* możnasz co okropniéjszego wymyśléć? W dramacie tym bohatérka najprzód otruła swego ojca, daléj sprzątnęła wszystkich swoich kochanków sztyletem, lub topiąc ich w wodzie. Po takiém skreśleniu płci pięknéj zaiste trudno odgadnąć, co może być wzorem doskonałego wykończenia u francuzkich poetów? Pominąwszy dzieła Wiktora Hugo, i płód najnowszy Alexandra Dumas: *Don Juan de Marana*, także do tego rzędu należy; w piérwszym akcie bohater morduje niewinnego księdza, nie przepuszcza własnemu ojcu, i staje się przyczyną śmierci dwóch przyjaciółek; w drugim akcie wykrada narzeczonę swego brata, ogołaca go z bogactw i tytułów, i pozwala go służbie swojéj znieważać; w trzecim zabija Don Sandovala, wygrawszy piérwéj w karty od niego kochankę; w czwartym zabija brata...; w piątym zaś (kiedy już wszystko wymordował dla rozrywki), bije się i tańczy z tymi, których na tamten świat posłał, a w końcu porywają go szatany. Słowem, teatr francuzki w najsmutniéjszym jest stanie; stał on się miejscem walki dwóch szkół, lecz walczący nie dali sobie nawet pracy pogrzebania wszystkich poległych.

Nowy melodramat: *L'home de rochers* miał wielkie powodzenie w Paryżu. Biały niedźwiedź ma w nim najpiérwszą rolę, karmi on i wychowuje młodego, dzikiego człowieka, zaco mu publiczność oklaskami nagradza.

W roku jeszcze 1820 sławny Oersted odkrył, że elektryczność ma własność zradzania magnetyzmu w każdéj chwili, we wszelkiéj żądanéj mocy i we wszelkim kierunku polaryzacyi; przedłużać jego trwanie według potrzeby, lub przerwać je w oka mgnieniu. Doświadczenia pokazały, że pomnażanie, czyli natężenie siły tego elektromagnetyzmu zależy od woli człowieka, i nie ma granic. Od czasu odkrycia Oersteda uczeni w wielu krajach pracowali nad onegoż rozwinieniem, ale teraz dopiéro potrafiono ziścić szczęśliwą myśl zastosowania tego nowego pierwiastku siły, do machin. Na posiedzeniu towarzystwa naturalistów, założonego przez pa. Senkenberg we Frankfurcie nad Menem, odbytém dnia 1. czerwca, doktor

medycyny Neef czytał o tém obszérną rozprawę. Drugi członek towarzystwa, p. Wagner, sporządził model machiny elektro-magnetycznéj, który działaniem swojém pokazuje, jak pożyteczne i obszerne będzie zastosowanie wynalazku. Machiny tego rodzaju tę mają wyższość nad parowemi, że siła ich może być powiększaną według upodobania i w jednéj chwili wstrzymaną; że daleko będą tańsze, lżejsze, i że najmniéjszemu nie ulegają niebezpieczeństwu. P. Wagner pracuje teraz nad dwoma modelami innego rodzaju. Wkrótce wypadek tych doświadczeń będzie szczegółowie podany do powszechnej wiadomości i użycia.

Niejaki pan Dutertier w Paryżu postrzegł, iż mu z kantorka często ginęły pieniądze. Podejrzenie jego padało na niektóre osoby domowe. Aby się prawdy dowiedzieć, tak sztucznie urządził nabity pistolet w biórku, że za odemknięciem niewiadoméj ręki, musiał wystrzelić. Poczém odszedł, mówiąc, iż wieczór powróci, w rzeczy zaś saméj udał się do swego blizkiego sąsiada. Nie wyszło 10 minut strzał rozległ się po całym domu. P. Dutertier wraca i postrzega młodego kupczyka, leżącego przy otworzonym kantorku, i kilka innych osób oglądających go, czy nie jest raniony, lecz pistolet tylko prochem był nabity. Wkrótce młody ten człowiek, przy którym znaleziono dorobiony kluczyk do kantorka, przyszedł do zmysłów, i gdy zapytał: »Gdzież jato jestem?« odpowiedziano mu: »W więzieniu!«

Dnia 16. maja odpłynęła mała kolonija rolników z Nansy do Egiptu, aby tamże nie daleko Kairu wzorowe zaprowadzić gospodarstwo. Mechmet-Ali zakupił dla niéj z najlepszych fabryk, znaczną ilość rozmaitych sprzętów i narzędzi rolniczych, i mianował pana Husson, młodego uczonego, onej naczelnikiem, który, jako biegły w chemii i historyi naturalnéj, stosownych do rolnictwa wiadomości udzielać będzie.

Caulaincourt opowiada: »W czasie owego sławnego widzenia się Napoleona z cesarzem Alexandrem w r. 1807 na Niemnie, piérwszy ostatniemu wiele uprzejmych mówił rzeczy o męztwie wojska moskiewskiego: »Kto to dowodził kawaleryją pod Friedlandem?« zapytał w końcu jenerała Beningsen. »*Je, Sire!*« ozwie się młody, dziarski oficer, który się z orszaku Alexandra wysunął. (Byłto powszechnie ze swoich miłosnych przygód i męztwa znany jenerał Uwarow.) Obadwaj cesarze i wszyscy obecni parsknęli śmiechem na tę niegramatykalną odpowiedź. »Jenerale,« rzekł w końcu Napoleon, »jeżeli nie najlepiéj mowisz po francuzku, zato dobrze się bić umiesz.«

W Orleanie znaleziono nie dawno pomiędzy starémi zabytkami ową sławną chorągiew, którą niegdyś w tém mieście podczas procesyi na cześć dziewicy Orleańskiéj obnoszono, a z którą szła może ona na czele zastępów przeciw najezdzcom.

W Amsterdamie nie dawno ulubiony artysta dramatyczny, przedstawiając rolę *Śpiochajły* w komedyi *Zamieszanie*, gdy w końcu sztuki zasypiając, mówi do publiczności: »Dobranoc, moi panowie!« został tknięty apoplexyją, i w kilka minut zasnął na wieki!

Sławny oryjentalista Karol Wilkins nie dawno umarł w Londynie.

Wielka i podziwienia godna robota około tunelu pod Tamizą postępuje zwolna, lecz stanowczo, tak, że o jej ukończeniu wątpić już nie można. Robotnicy pracują dniem i nocą, podzieleni są na trzy części, w każdéj po 112 ludzi, i odmieniają się co 8 godzin. W ciągu tych ośmiu godzin tylko pół godziny mają wolnego spoczynku na jadło, które im na miejsce przynoszone bywa. Płacę pobiérają bardzo znaczną, ta wynosi bowiem od 40 do 45 szyl. (25 do 27 złr.) tygodniowo. Wapno do murowania najlepszego jest gatunku, bo na 100 beczkach zawiera tylko jednę beczkę piasku, przezco nabiéra największej twardości. W dwie godziny po wmurowaniu każdéj cegły, przychodzą nadzorcy i uderzają w nią 14-funtowym młotem; jeżeli zaś rysa powstanie, albo cegła z miejsca się ruszy, zaraz przywołują robotnika, i podług okoliczności karzą go pieniędzmi, lub odprawę mu dają. Przy takich środkach przezorności i wielkich trudnościach robota bardzo pomału postępuje. Inżynier ma się za szczęśliwego, jeżeli po 24-godzinnéj robocie sklepienie o 9 calí się posunie. Do téj chwili galeryja doprowadzoną została do 1,200 stóp, a teraz nawiększe w prowadzeniu jéj zachodzą trudności, albowiem robota idzie przez grunt miękki i piaszczysty i pod samym środkiem rzéki.

Idący ulicą młody ptasznik niósł srokę na sprzedaż, spotyka go pan B*, który się niezmiernie jąkał: »Hej, hej, przy...przy...ja...cielu, czy ta...ta sro...ka...ka ga...ga...da?« — »O zapewne, że gada, i lepiéj jak pan, inaczéj dawnobym już jéj łeb ukręcił.«

Miasto Newross w Irlandyi ogłosiło publicznie zakład o 100 funt. szterl., że w całej Irlandyi nié ma ładniejszych dziewcząt jak w oném mieście.

Podług wykazu pana O'Conella ma się znajdować w Irlandyi 2,300,000 ludzi, którzy tylko li z saméj żyją jałmużny!

Cywilizacyja robi wielkie postępy w Persyi. Dowiadujemy się z listów z Teheranu, jako nowy szach postanowił otworzyć bramy swojego haremu i wolność nadać swoim niewiastom. Przykład ten jednomyślnie prawie naśladowany został przez piérwsze osoby w kraju.

Podług opowiadania Bisacher'a, trumny w Tunkinie należą do najdroższych mebli w salonach. Zwykle bywają one wyrabiane z drogiego drzewa, polerowane, złocone i ozdobione napisami. Wiele osób używa tych trunien podobnie jak kufrów. Częstokroć dzieci składają się do spółki, i dla swego ojca, lub którego z krewnych, potajemnie każą robić piękną trunnę, i podarunek ten skrycie postawiwszy w pokoju owej osoby, starają się jéj tym sposobem przyjemną sprawić niespodziankę. Dowód ten dziecięcej miłości czule bywa przyjmowany. — Coby też u nas bogate ciotki i stryjaszkowie na podobną siurpryzę powiedzieli!

R o z t a r g n i o n y. Lessing pewnego razu chciał doświadczyć wierności swego służącego, i w tym celu oddalił się z pokoju zostawiwszy pieniądze na stole — lecz nieporachowane. Do pewnéj wdowy, która jęcząc i załamując ręce, opłakiwała zgon swego małżonka, rzekł pełen politowania: »Czyżeś wćpani tylko tego jednego miała?«

S p o s ó b z a c h o w a n i a p e r e ł. Częste uskarżania na żółknienie i tracenie blasku pereł ztąd pochodzą, iż sposób przechowywania onych nie jest wszystkim wiadomy; potrzeba je zatém, nie jak zwykle w bawełnie, lecz w pospolitéj suchéj magnezyi trzymać, a nigdy swego blasku nie stracą.

M o d y. Ostatnie chwile pięknéj pogody roztrzygnęły o paryzkiéj modzie mezkiéj; w lasku Bulońskim pokazało się najwięcéj pantalonów dreliszkowych i kapeluszów pilśniowych. Spodnie z angielskiego drelichu są wązkie, okrywają boty, i pod obcasem podpięte są strzemionkami. Obcasy są bardzo wysokie, a pantalony opięte. Surduty najwięcéj mają jednę kieszeń na lewéj stronie piersi, lecz zato na biodrach żadnych nié mają. Zwierzchnie surduty są dłuższe, niż dawniéjsze, w stanie zaś krótsze; kołnierze są dosyć nizkie, i nie ściskają szyi. Słomkowych kapeluszy nie widać; wszyscy prawie eleganci noszą takowe w kolorze szarym, pilśniowe. Krawaty zwykle bywają z atłasu, z małémi fontaziami w kształcie rozety.

S p r o s t o w a n i e. W przeszł. Rozm. Nr 27. z początku 217stej stronicy, zamiast: *Zabobony istniący*, powinno być: i s t n i ą c e.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. **Druk Piotra Pillera, we Lwowie.**